

CHARLOTTE WILLOW

MARGINES  
WINY

TOM II TRYLOGII „CIENIE AMBICJI”

Tom II trylogii  
**„Cienie ambicji”**

∞

*Książkę tę dedykuję tym, których bezczelnie dopisano do cudzych  
kłamstw.*

## **Informacje wydawnicze**

Warszawa © 2026 Charlotte Willow

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment tej publikacji nie może być powielany ani rozpowszechniany w żadnej formie i w żaden sposób bez uprzedniej pisemnej zgody autorki.

Wszystkie postacie i wydarzenia opisane w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych, żyjących lub zmarłych, oraz autentycznych wydarzeń jest całkowicie przypadkowe.

Instagram: @charlotte.willow.czyta

[www.marysue.pl](http://www.marysue.pl)

[hello@marysue.pl](mailto:hello@marysue.pl)

## Patroni Medialni



Dziękuję tym, którzy zdecydowali się ponieść echo St. Oswald's dalej w świat. Za wiarę w mrok tej opowieści, odwagę do szukania prawdy w popiele i za to, że nie pozwalacie tym sekretom zniknąć w archiwach ciszy.

- Natalia ∞ **@naviczyta** ∞ [navixczyta@gmail.com](mailto:navixczyta@gmail.com)
- Justyna ∞ **@bookswithpysiaa** ∞ [pysia.czyta@gmail.com](mailto:pysia.czyta@gmail.com)
- Maja ∞ **@zaklete.w.ksiazkach** ∞ [zakletewksiazkach@gmail.com](mailto:zakletewksiazkach@gmail.com)
- Charlotte ∞ **@charlotte.willow.czyta** ∞ [charlotte@marysue.pl](mailto:charlotte@marysue.pl)

**Chcesz zostać Patronem Medialnym tomu III: „Requiem dla ambicji”?**

Napisz do nas na **hello@marysue.pl**.

## **Rozdział 1 – Puste łóżko i zapach wełny**

Drzwi do pokoju zaskrzypiały tak samo jak zawsze. Różnica polegała na tym, że tym razem nikt nie powiedział energicznie „już jestem”, zanim w ogóle zdążyła wejść.

Rose wślizgnęła się do środka i przez moment stała na progu, jakby sprawdzała, czy adres się zgadza.

Ten sam prostokątny układ: dwie szafy, dwa biurka, dwa łóżka rozdzielone pasem wykładziny w kolorze, który ktoś w broszurze nazwałby „bezpieczną zielenią”.

Tylko „dwa” przestało istnieć.

Po lewej stronie – jej część. Biurko z równo ustawionymi książkami, pamiątkowy kubek z Horacym, stos notatek spięty klipsem. Na łóżku pościel zagnieciona od tego, jak w ostatnim tygodniu przed feriami zasypiała w ubraniu.

Po prawej – pustka. Łóżko, które jeszcze do niedawna należało do Caroline, było zasłane podręcznikowo. Koc złożony w kostkę, poduszka gładka. Żadnych swetrów przewieszonych przez oparcie krzesła, żadnych listów wciśniętych między książki, żadnego chaosu, który zawsze zdradzał jej obecność.

Na szafie nie było już naklejki „WALKER”. Na biurku Caroline nie stał już żaden kubek.

Zamiast zdjęcia z morzem, które kiedyś zasłaniało fragment ściany, wisiała czysta tablica korkowa z jedną pinezką w rogu. Czekala na nową historię.

Rose zrobiła krok w głąb pokoju. Dywanik pod jej butami wydał cichy, tłumiony odgłos, jakby nawet on próbował zachować się dyskretnie.

Z szafy wystawał róg znajomego kartonu. Rose nie musiała go otwierać, żeby wiedzieć, co tam jest: Caroline przyniosła go ostatniego dnia poprzedniego semestru pełnego „obcych rzeczy”, które oddawała jak dowody zebrane w sprawie. Teraz stał po drugiej stronie wykładziny. Jak archiwum, nad którym straciła kontrolę.

Z korytarza dochodziły odgłosy powrotu uczniów – otwierane drzwi, śmiech za ścianą, tupot wzdłuż biegu. Rose odcięła je w głowie, nie chcąc myśleć o tym, że w jej pokoju już takich odgłosów nie ma; tutaj jest aż nienaturalnie jak na początek semestru.

W kuchni w domu też zostały tylko ślady. Kubek z niedopitą herbatą, krzesło odsunięte o kilka centymetrów od stołu, złożony na pół rachunek. I zdanie, które teraz wracało jej w głowie szybciej niż jakikolwiek wiersz.

„Nie wracajmy do tego, Rose.”

Matka powiedziała to lodowato spokojnym tonem, nawet nie podnosząc głosu. Jej nóż zatrzymał się nad marchewką, ręka ruszyła dopiero po chwili, jakby cała rozmowa była tylko zakłóceniem rytmu gotowania. Rose zdążyła wypowiedzieć imię Juliana do połowy. Resztę połknęła razem z parą znad garnka.

*Nie wracajmy do tego.*

Spodziewała się: „skąd wiesz?” albo „to nieprawda”. Ale nie: *nie wracajmy do tego.*

Teraz, patrząc na puste łóżko Caroline, Rose poczuła dokładnie tę samą mieszankę złości i rozpacz.

Zdjęła płaszcz dopiero po dłuższej chwili. Powiesiła go w szafie tak równo, jakby ktoś miał przyjść z inspekcją. Potem otworzyła torbę. Książki ułożyła w stos przy biurku, notatniki w identyczny stos obok. Każda rzecz znalazła swoje miejsce szybciej, niż jej myśli. W głowie

wciąż miała to jedno, niewypowiedziane do końca pytanie: „Dlaczego nikt nie chce o nim mówić?”.

Matka nie chciała. Claire nie chciała. Szkoła też nie chciała.

Inaczej niż o starym raporcie sprzed dwóch lat – o nim rozmawiali nazbyt chętnie. To, że Rose wtedy poszła do dyrektora, stało się w domu czymś w rodzaju rodzinnej wpadki, o której chętnie jej przypominano. Regularnie powtarzano, że to niedopuszczalne, aby jeszcze kiedykolwiek wpadła na podobny pomysł.

Teraz wszystko zdawało się ustawiać w jednym szeregu: raport, Julian, pożar, nazwisko Whitby, stypendium Cavendish. Jak kolumna strat, o której nie pozwalano jej zapomnieć.

Usiadła przy biurku. Wyjęła zeszyt i otworzyła go na ostatniej zapisanej stronie. Po lewej – notatki z grudnia. Po prawej czekała czysta kartka. Przez chwilę patrzyła na kremową powierzchnię, czując, jak coś w środku niej próbuje się poruszyć, a zaraz potem cofa.

Mogła zapisać datę. Mogła zapisać: „Powrót po feriach. Łóżko Caroline puste. Matka nie chce mówić o Julianie”. Zamiast tego narysowała mały, równy kwadrat w górnym rogu strony. Symbol rubryki bez podpisu.

Na korytarzu ktoś krzyknął coś o walizkach, gdzieś trzasnęły drzwi od łazienki, jakaś młodsza uczennica roześmiała się za głośno jak na tę porę dnia. Ten hałas istniał, ale jakby za szybą. Tutaj wciąż były tylko dwa łóżka, dwa biurka i jedna dziewczyna, która nagle poczuła się jak zbędny element w równaniu.

Apatia nie była u niej spektakularna. Nie płakała, nie rzucała niczym o ścianę. Po prostu zmniejszyła liczbę rzeczy, na których jej zależało. W domu przestało jej zależeć na tym, aby matka była z niej

zadowolona. Tutaj coraz mniej obchodziło ją to, czy ktoś z korytarza jeszcze pamięta, że to ona dwa lata temu poszła do dyrektora.

Liczyło się już tylko jedno: liczby, które mogły ją stąd wynieść. Procenty, punkty, nazwisko w odpowiedniej rubryce przy Cavendish Grant. Reszta była szumem.

Przesunęła spojrzeniem po pustej pościeli Caroline jeszcze raz.

Wstała w końcu. Z szuflady biurka wyjęła list z herbem szkoły – ten o tym, że „Rada Powiernicza musi formalnie ratyfikować tę bezprecedensową decyzję podczas wiosennej Wizytacji”. Papier był już lekko zagięty na rogach, od czytania. Przesunęła palcem po kwocie. To był jedyny fragment, który wciąż potrafił wywołać w niej coś w rodzaju przyspieszonego pulsu.

Wsunęła list z powrotem. Zamknęła szufladę zdecydowanym ruchem, ale ciężar papieru wciąż wydawał się wyczuwalny pod jej palcami.

W jej głowie pojawiło się to samo, paranoiczne pytanie, które towarzyszyło jej od pierwszego apelu w St. Oswald's.

*Czy ja w ogóle mam prawo tu siedzieć?*

Cała jej mordercza praca, setki idealnie równych marginesów i chorobliwy perfekcjonizm nie były walką o sprawiedliwość – były rozpaczliwą próbą udowodnienia, że to krzesło przy stole nie zostało jej podarowane przez pomyłkę w rekrutacji. Bała się, że jeśli jej średnia spadnie o ułamek procenta, system natychmiast wypluje ją na żwir, a elita nawet nie zarejestruje wolnego miejsca w hierarchii klasowej.

– Przetrwam ten rok – powiedziała szeptem, nie wiadomo, czy do siebie, czy do pustego łóżka obok. – A resztą zajmę się potem.

Brzmiało to rozsądnie. Zbyt rozsądnie jak na kogoś, kto właśnie wrócił do miejsca, w którym spalono archiwum.

Bezsilność usiadła jej na ramionach jak dodatkowy, niewidoczny płaszcz.

∞

Dziedziniec przed skrzydłem administracji był pusty, jeśli nie liczyć czarnego, lśniącego jaguara zaparkowanego tuż przy krawężniku. Silnik pracował cicho, wyrzucając w wilgotne powietrze regularne pasma spalin. Sir Alastair wyszedł z gabinetu dyrektora jako ostatni, zapinając środkowy guzik płaszcza z precyzją, która nie dopuszczała żadnych poprawek.

Matt czekał na niego przy żywopłocie, z dłońmi głęboko w kieszeniach.

Przez moment żaden z nich się nie odezwał. Wiatr przeszedł po kamieniu, poruszając liśćmi w żywopłocie. Z daleka dobiegł śmiech z pokoju wspólnego, przytłumiony szybami.

– Wyglądasz... stosownie – skomentował w końcu Sir Alastair, przesuwając spojrzeniem po mundurku. – Przynajmniej tym razem nie muszę się wstydzić, mijając nauczycieli.

– Zawsze możesz powiedzieć, że to nie twoja rodzina – rzucił Matt.

Kącik ust ojca drgnął, ale nie na tyle, żeby można to było nazwać uśmiechem.

– Och, Matthew. – Westchnął cicho. – Nawet kiedy próbujesz być impertynencki, cytujesz rodzinę. To twoja matka mówi tak o kuzynach.

Zrobił krok w jego stronę, zatrzymując się dokładnie na granicy, która oddzielała prywatną rozmowę od oficjalnego pożegnania widocznego z okien gabinetu Davenporta.

– Rachunki zawsze rosną – mruknął Matt.

– Bo wszystko jest rachunkiem – odparł bez wahania ojciec. – Ta szkoła, Cavendish, twoja nauka, każdy bankiet, na którym wymieniane jest nazwisko Whitby. To inwestycje. Wizerunek, wpływy, partnerstwa. – Przeniósł na niego wzrok. – Ciebie też zaliczam do inwestycji, Matthew. Nie do spontanicznych wydatków.

Słowo „inwestycja” trafiło dokładnie tam, gdzie miało – w to samo miejsce, w które kiedyś wchodziło „ultimatum”. Matt poczuł, jak coś zaciska mu się pod mostkiem, ale nie zareagował.

– Miło wiedzieć, że nie jestem impulsywnym zakupem – mruknął.

– Nie byłoby mnie stać na impulsywne zakupy w tej skali – skwitował Sir Alastair. – Jeden semestr waszego amatorstwa kosztował mnie więcej niż roczne utrzymanie przeciętnego ucznia. – Nie podniósł głosu. – Pamiętasz warunki naszego rozejmu?

„*Waszego amatorstwa.*”

Nie musiał doprecyzować. Matt poczuł w ustach suchy, cierpki smak dymu. Ojciec doskonale wiedział, co wydarzyło się w poprzednim semestrze – wiedział, że razem z Rose Hartley dokopali się do prawdy o Julianie i Arthurze, a pożar w archiwum był tylko rozpaczliwą próbą dyrektora zatarcia śladów. Wiedział, że ta dziewczyna trzyma w dłoni zapalnik do ich rodowego fundamentu.

– Jesteś prawie pełnoletni i za rok kończysz tę szkołę – kontynuował Sir Alastair, a jego głos stał się jeszcze chłodniejszy, pozbawiony jakichkolwiek ozdobników. – W tym roku już nie interesują mnie twoje drobne wybryki, alkohol w internacie czy puste butelki w szafce. Jeśli chcesz kupić sobie prawo do tych ostatnich miesięcy względnej wolności, warunek jest jeden. Trzymasz się od Hartley na dystans mili. Ona jest bezpośrednim zagrożeniem dla tej

rodziny, a twoim jedynym zadaniem jest utrzymać stypendium Cavendish i nienaganny profil. Jeden krok w jej stronę, Matthew, a status dziedzica przestanie ci przysługiwać w jakiegokolwiek rubryce. Zostaniesz z niczym. Rozumiemy się?

Matt zacisnął zęby tak mocno, że aż zaboląła go żuchwa. Spojrzał ojcu prosto w oczy, nie pozwalając, by choćby jedno drgnienie powieki zdradziło, jak bardzo to uderzenie pozbawiło go tlenu.

– Rozumiemy się – powiedział krótko.

– Nie po to wisi tu nasze nazwisko, żeby ktoś grzebał w jego marginesach. – Skinął lekko głową w stronę tablicy. – Tam nikt nie dopisuje przypisów. Tylko daty i funkcje.

– Mówisz, jakby ona miała dużo – syknął Matt. – To tylko dziewczyna, która liczy procenty lepiej niż my.

– Dziewczyna, która ma powód, żeby się z nami rozliczyć – odparł ojciec. – A ty jesteś uczniem, którego twarz pojawia się w każdej opowieści o tym, co poszło źle. – Wzruszył minimalnie ramionami. – Nie muszę ci niczego powtarzać. Wiesz, jak to działa. W tej historii ty zawsze byłeś na pierwszej linii ognia.

– Więc przyszedłeś mi o tym przypomnieć? – zapytał Matt. – Przejściowo, między jednym bankietem a drugim?

– Przyszedłem zobaczyć, czy rozumiesz, w czym bierzesz udział – poprawił go. – I upewnić się, że nie zaczynasz mylić lojalności z sentymentem.

Matt parsknął krótko.

Wiedział, że to jest ten moment, w którym kurtyna musi opaść idealnie. Ojciec szukał buntu, żeby mieć powód do domknięcia klatki, albo całkowitego posłuszeństwa, by móc odjechać z poczuciem dobrze zabezpieczonego kapitału. Matt powoli wyprostował ramiona.

Uniósł podbródek o milimetr, a na jego twarz wrócił ten nienaganny, chłodny uśmiech, który Sir Alastair tak chętnie pokazywał na zdjęciach w kronice fundacji.

– Wszystko jest pod kontrolą, sir – powiedział w końcu. Głos miał czysty, stabilny, idealnie skrojony pod standardy St. Oswald's.

Sir Alastair przyglądał mu się jeszcze przez kilka sekund, szukając pęknięcia pod tą gładką powierzchnią. Nie znalazł nic. Wyciągnął rękę i protekcyjnie poklepał syna po ramieniu – krótko, sucho, jakby klepał dobrze utrzymany element dekoracji.

– Tego od ciebie oczekuję, Matthew – podsumował, po czym odwrócił się i wsiadł na tylne siedzenie jaguara.

Drzwi zatrzasnęły się z głuchym, kosztownym kliknięciem. Samochód ruszył gładko, zostawiając na żwirze idealne ślady opon. Matt stał nieruchomo przy żywopłocie, odprowadzając go wzrokiem, dopóki czarny lakier nie zniknął za bramą szkoły. Dopiero wtedy pozwolił, by jego ramiona opadły o milimetr, a oddech uderzył w zimne powietrze z całą wściekłością, którą przed chwilą tak perfekcyjnie zamroził.

∞

Jadalnia pachniała ciepłym jedzeniem i mokrymi płaszczami. Rzędy stołów ciągnęły się od drzwi aż pod wysokie okna. Za szybami deszcz ciał dziedziniec skośnymi liniami, rozbijając się o kamienne płyty.

Rose wzięła tacę. Zupa, ziemniaki, kawałek mięsa, kromka chleba, kubek herbaty. Wszystko identyczne jak na tackach przed nią i za nią.

Przeszła między stołami do miejsca mniej więcej w połowie sali, po prawej stronie przejścia. To był odruch – codzienna trasa, wydeptana od pierwszego semestru.

Postawiła tacę. Odsunęła krzesło. Usiadła.

Po obu stronach stołu miejsca były wolne. Na blacie – tylko jej talerz, jej kubek, jej sztucce.

Kawałek dalej, bliżej ściany, dziewczyny z jej skrzydła siedziały ściśnięte razem. Amy mówiła szybko, nie odrywając wzroku od Caroline.

– Mówię ci, widzieli go z Victorem przed samym pożarem – urywek zdania doleciał do Rose ponad szumem. – Nie ma opcji, żeby to była przypadkowa akcja.

– Przestań – mruknęła Caroline. – Nie w stołówce.

– A gdzie? – ktoś z drugiej strony stołu prychnął. – Victor znika, Matt zostaje, Hartley dostaje Cavendish. To nie jest plotka.

Śmiech. Krótki, za głośny, natychmiast stłumiony, kiedy jedna z nauczycielek spojrzała w ich stronę.

Rozmowy w pobliżu przycichły na moment, jakby ktoś ściszył dźwięk. Potem ruszyły dalej, ale wokół Rose zrobiło się jakby więcej przestrzeni.

Zanurzyła łyżkę w zupie. Nie spróbowała. Tylko zamieszała, patrząc, jak cienka warstwa tłuszczu układa się w nieregularne kręgi.

Dziewczyna z naprzeciwka podeszła z tacą, spojrzała na wolne krzesło przy Rose, zawahała się ułamek sekundy, po czym minęła je i usiadła dalej, przy grupie.

Stoły w pobliżu w jednej chwili znalazły nowe środki ciężkości. Śmiech przesunął się o kilka miejsc w lewo, jakby ktoś ustawił go ręką.

Szmer rozmów narósł przy wejściu.

Matt wszedł do jadalni w otoczeniu dwóch prefektów z ich roku. Mundurek miał zapięty podręcznikowo, krawat idealnie na środku.

Włosy jeszcze lekko wilgotne od deszczu. Mówił coś do jednego z chłopaków, ale słowa gubiły się w hałasie.

Ktoś przy drzwiach rzucił półgłosem:

– Patrz, pan Cavendish.

– W połowie – poprawił go drugi.

Parsknięcie. Nerwowe.

Matt szedł korytarzem między stołami. Uśmiechnął się na jakąś uwagę, tym szkolnym, nienagannym uśmiechem, który dobrze wyglądał na zdjęciach.

Kiedy mijał jej ławkę, spojrzał prosto przed siebie. Ani drgnął. Jakby jej tam nie było.

Rose oparła przedramiona na blacie, żeby nikt nie widział, jak dłoń zaciska jej się na uchu kubka.

Przy końcu stołu ktoś szepnął:

– No i proszę. Whitby w towarzystwie, Hartley solo. System działa.

– System zawsze działa – odparła sucho jedna z dziewczyn. – Inaczej nie mielibyśmy tej szkoły.

Matt usiadł przy stole po przekątnej, pod ścianą. Chwilę później otoczyła go mała grupa – koledzy z drużyny, ktoś z klasy wyżej, jeden z prefektów. Ktoś rzucił mu bułkę jak piłkę. Złapał bez problemu.

Śmiech przy jego stole był czysty, bez zacięć. Przy jej stole były jedynie wolne miejsca.

Rose zjadła pierwszą łyżkę zupy. Smak był letni, nijaki, jakby kuchnia odhaczała obowiązki tak samo jak oni.

W domu matka powiedziała tylko: „Masz szkołę. Rób, co trzeba, żeby ją skończyć”. Wyprostowała plecy. Łyżkę odkładała spokojnie, nie trzaskając o talerz. Nie zamierzała dłużej udawać, że ktoś jeszcze do niej usiadzie.

Kiedy w końcu wstała, żeby odnieść tacę, krzesło odsunęło się z pojedynczym skrzypnięciem. Nikt nie zajął wolnego miejsca, zanim wyszła z sali.

∞

Wieczorem, gdy wracała z biblioteki chwilę przed ciszą nocną, deszcz nie padał – ciął. Ukośnymi liniami, bez ostrzeżenia, bez żadnego meteorologicznego wstępu. Rose wyszła przez boczne drzwi ze skrzydła internatu z zamiarem sprawdzenia godziny na tablicy ogłoszeń i zamiast tego dostała ulewę prosto w twarz.

Dziedziniec był pusty.

Żwir przy krawężniku nosił jeszcze ślady opon – dwa idealne, równoległe rowki po czarnym jaguarze. Lśniły w świetle latarni jak podpis kogoś, kto wyszedł z pomieszczenia, nie zamykając za sobą temperatury.

Rose zatrzymała się pod okapem i odruchowo policzyła: czterdzieści minut od wyjazdu Sir Alastaira. Tyle czasu Matt miał na to, żeby wrócić do internatu. Nie wrócił.

Pomnik Cavendisha stał na końcu bocznej alejki jak zawsze – solidny, marmurowy, absolutnie obojętny na pogodę. Fundator patrzył w dal z wyrazem twarzy człowieka, który nigdy nie miał problemu z wilgotnością powietrza. Za jego cokołem była wnęka – Rose wiedziała o niej, ponieważ Matt palił tam papierosy po wieczornej ciszy i zostawiał niedopałki poustawiane rzędem jak dowody rzeczowe.

Zobaczyła ruch, zanim zobaczyła go samego. Biała koszula w ciemności. Marynarka nigdzie.

∞

Kiedy weszła w tę wąską szczelinę między kamieniem a murem ogrodzenia, deszcz natychmiast przyciął o połowę. Tutaj było sucho tylko teoretycznie – marmur oddawał wodę z każdej strony, a powietrze smakowało mokrym lodem i czymś ostrym, co Rose skojarzyła bez opóźnienia: alkohol.

Matt siedział na niskim murku przy postumencie. Koszulę miał przemoczoną do nitki, przylepioną do ramion z precyzją, która nie zostawiała złudzeń co do temperatury tego wieczoru. Włosy lepiły mu się do czoła i karku. Krawat był rozluźniony o więcej niż jeden centymetr. To był zły znak – Matt Whitby wyglądał na pokonanego.

Nie spojrzał na nią, gdy podeszła.

– Internaty zamykają za jedenaście minut – powiedziała i starała się, żeby do jej głosu nie wdarł się żal.

Nic.

– Matt.

– Wiem, kiedy zamykają internaty – odparł cicho. Głos miał czysty, szkolny, perfekcyjnie pozbawiony czegokolwiek poza literami. To było gorsze niż krzyk.

Rose zrobiła krok w jego stronę. Mokry żwir zaskrzypiał pod stopą.

– Wstawaj. Pójdziemy tylnym wejściem, Hobson i tak nigdy nie sprawdza listy przed...

– Zostaw mnie.

– Nie ma opcji, żebyś spędził noc...

– *Zostaw. Mnie.*

Wstał. Szybciej niż powinna się spodziewać, szybciej niż wynikało z pozycji, w której siedział – jeden ruch, płynny i nieprzyjemnie precyzyjny jak zamknięcie sejfu. Rose cofnęła się odruchowo, ale nie

zdążyła, bo jego dłonie chwyciły ją za nadgarstki. Uchwyt nie był bolesny, ale był bardzo stabilny.

Zanim zdążyła przetworzyć całą sekwencję, jej plecy uderzyły w mokry marmur cokołu.

Kamień był lodowaty nawet przez materiał mundurku. Cavendish za jej głową trzymał swój niezmienny wyraz i był jej w tej chwili doskonale obojętny.

Matt stał bardzo blisko. Za blisko, żeby nazwać to przypadkiem. Jego mokre włosy musnęły jej czoło – jeden krótki kontakt, który Rose zarejestrowała z opóźnieniem – a oddech uderzał w jej twarz w nieregularnych falach, za ciepły jak na ten wieczór.

Pachniał alkoholem i czymś pod spodem, czymś metalicznym i ostrym, co Rose kojarzyła z archiwum, z późnymi wieczorami nad teczkami, których nie można było otworzyć bez szkody. Z wściekłością, która nie znalazła jeszcze rubryki, do której można by ją wpisać.

Oddychał ciężko. Jego klatka piersiowa poruszała się z nieregularnością kogoś, kto przez ostatnie czterdzieści minut aktywnie starał się *nie* oddychać i właśnie teraz przestał.

Nie widać tego było na jego twarzy, która utrzymywała jeszcze tę splukaną wersję oficjalnego wyrazu – szczęka zaciśnięta, spojrzenie skupione gdzieś pośrodku między jej czołem a horyzontem – ale Rose czuła to przez nadgarstki. Wibracja, drobna i miarowa, jakby coś wewnątrz niego pracowało pod zbyt wysokim ciśnieniem i szukało ujścia przez każdą dostępną szczelinę.

– Matt, puść mnie – powiedziała cicho.

Nie puścił. Zacisnął palce mocniej – nie boleśnie, ale wyraźnie, jakby to był jedyny punkt, który jeszcze trzymał.

– *Inwestycja* – syknął.

Słowo wyszło z niego jak coś, co siedziało od godzin między zębami i właśnie znalazło drogę przez zęby. Nie był to krzyk. Był cichszy od krzyku, i przez to znacznie gorszy.

– Słyszałaś? – Jego twarz była teraz tak blisko, że Rose mogła policzyć, ile wody ma na rzęsach. – *Inwestycja*. Tak to nazwał. Jeden semestr twoich wybryków. Powiedział to jak wiersz, który zna na pamięć. Jakby–

Urwał. Żuchwa drgała mu minimalnie.

Rose nie odpowiedziała. Instynkt kazał jej milczeć.

Matt opuścił głowę o centymetr. Mokre włosy znów musnęły jej skórę.

– Zostało mi *przeżycie* – wyszeptał, a w tym szepcie był taki ładunek, że Rose poczuła, jak coś napina się w powietrzu między nimi. – Żadnych impulsywnych zakupów. Żadnych rachunków, których nie przewidział. Żadnych – jego głos złamał się na ułamek sekundy, jeden jedyny, natychmiast zamrożony – żadnych *nieprawidłowości* w rejestrze.

Deszcz walił o kamień za nimi. Gdzieś dalej skrzypnęły drzwi od strony dziedzińca.

Rose patrzyła na niego i widziała to po raz pierwszy – nie fasadę, nie tryb oficjalny, nie nagrodzony uśmiech z kroniki fundacji. Widziała kogoś, komu właśnie wyjęto kręgosłup i oddano z powrotem, i kto teraz stoi tylko dlatego, że nie ma gdzie upaść.

Drapieżnik, który wie, że jest w klatce.

Jego palce na jej nadgarstkach drżały razem z resztą ciała – tą samą, niewidzialną wibracją, która teraz Rose czuła też w marmurze za plecami, jakby kamień ją przewodził.

Przez sekundę – krótszą niż wiersz, dłuższą niż powinna – nikt się nie ruszał.

– Nie jesteś inwestycją – wyszeptała nagle.

Matt zamarł.

– Nie jesteś projektem do naprawy – ciągnęła, słysząc własny głos dziwnie wyraźnie mimo deszczu. – Nie jesteś nazwiskiem do ustawienia przy stole na koniec semestru. Nie jesteś dowodem na to, że Whitby zawsze wracają na swoje miejsce. Nie jesteś niczym alibi.

Patrzył na nią z bliska, jakby próbował zdecydować, czy to kłamstwo, czy coś gorszego – prawda, której nie da się już cofnąć.

Uścisk zaczął się rozluźniać. Najpierw minimalnie, potem wyraźniej. Krew wróciła jej do dłoni gorącą falą.

Potem Matt odsunął się. Gwałtownie, jakby sparzył się o to, co przed chwilą trzymał. Cofnął się o krok, drugi, a uchwyt puścił tak nagle, że Rose musiała sama utrzymać równowagę przy murze.

Stał teraz z powrotem w deszczu, z rękami wzdłuż ciała, z mokrymi włosami i twarzą, na której coś zamykało się powoli, warstwa po warstwie. W końcu spojrzał na nią chłodno, bez żadnych emocji.

Rose oparła dłoń o marmur i złapała oddech. Nadgarstki pulsowały, a serce tłukło zbyt mocno.

– Osiem minut do zamknięcia internatów – powiedziała pewnie, chociaż głos jej zadrżał. Wyprostowała się i wyszła z wnęki w ulewę. Fundator Cavendish patrzył za nią obojętnie.

## **Rozdział 2 – Niepokorny siostrzeniec**

Następnego dnia jadalnia brzmiała jak zawsze: talerze uderzały o blat, krzesła zgrzytały po podłodze, rozmowy nakładały się na siebie, tworząc jednolity szum.

Rose siedziała z rozłożoną przed tacą książką. Po obu stronach ławki wciąż były wolne miejsca.

Od czasu do czasu ktoś przechodził obok, zwalniał na ułamek sekundy, po czym szedł dalej. Powietrze wokół niej było spokojniejsze niż przy innych stołach. Mniej śmiechu, mniej gestów. Przesunęła palcem po uchu kubka. Herbata była ciepła, ale nie gorąca. W powietrzu mieszał się zapach gotowanego mięsa i mokrej wełny.

Szmer rozmów przy wejściu lekko narósł.

Ktoś wszedł pewnym krokiem, jakby znał ten hałas od lat i wiedział dokładnie, jak się w niego wpasować. Zbyt dobrze znała mechanikę tej sali: jeśli coś było naprawdę warte uwagi, prędzej czy później dopłynie do niej echem.

- Patrz, „nowy Whitby” – powiedział ktoś półgłosem.
- Podobno jest z rodziny dyrektora.
- Ten w krzywym krawacie? Ładnie.

Ruch przy stołach przesunął się jak fala. Kilka głów odwróciło się w stronę drzwi, śledząc czyjś tor w głąb sali.

Rose uniosła wzrok.

Chłopak szedł wzdłuż przejścia, z tacą w jednej ręce. Mundurek miał poprawny, ale krawat był poluzowany o dobre dwa centymetry, górny guzik koszuli rozpięty. Na piersi – odznaka starszego oddziału, przypięta nieco krzywo. Włosy jasne, lekko potargane, jakby przesuwał po nich dłoń w drodze z dziedzińca.

Nie zwalniał przy zajętych stołach. Ktoś odsunął krzesło, robiąc mu miejsce, ktoś inny skinął głową. Przeszedł dalej i zatrzymał się prosto przy jej stole.

– Wolne? – zapytał zwyczajnie, jakby wcale nie chodziło o naruszenie niewidzialnej granicy.

Rose spojrzała na tacę, potem na niego.

– Wolne – odparła oschle. – Ale nie wiem, czy jadalnia doceni twoją odwagę.

Na dwóch sąsiednich stołach rozmowy przycichły. Kilka par oczu przerzuciło się z niego na nią i z powrotem.

Chłopak uśmiechnął się krótko, jednym kącikiem ust.

– Pewnie nie – stwierdził prosto.

Postawił tacę naprzeciwko niej i usiadł, jakby to był najbardziej naturalny wybór w tej sali. Krzesło zaskrzypiało.

– Theodore Davenport – przedstawił się spokojnie, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, a na jej zaskoczone spojrzenie dodał: – Łatwiej siedzieć naprzeciwko kogoś, kogo się przynajmniej z grubsza kojarzy, choćby po nazwisku.

Nazwisko dyrektora zawisło nad stołem z lekkim brzękiem. Kilka osób w pobliżu odchrząknęło.

Rose poczuła, jak mięśnie karku napinają jej się odruchowo.

– Rose Hartley – odparła. – Skoro jednak zajęłeś to krzesło, oficjalne powitanie i tak jest zbędne.

– Może. Ale jest uprzejme – stwierdził.

Sięgnął po łyżkę, ale jeszcze nie zanurzył jej w zupie. Trzymał ją między palcami, jakby sprawdzał jej wagę.

– Wiesz, że masz bardzo strategiczne miejsce? – zagadnął. – Środek sali, widzisz wszystko. Reszta udaje, że nie widzi ciebie.

– Widok jest przereklamowany – odparła. – Jedzenie i tak smakuje tak samo. – Zerknęła kątem oka na sąsiedni stół, jakby sprawdzała, ile sekund zostało im do momentu, w którym ktoś zainterweniuje.

– Spokojnie – powiedział cicho, zauważając jej ruch. – Nie przyszedłem robić eksperymentów.

– A co? – zapytała. – Kontrolę jakości?

Uśmiechnął się, ale bez rozbawienia.

– Powiedzmy, że chciałem zobaczyć, jak wygląda „legendarna izolacja Hartley” – odparł. – Z daleka wygląda jak pusty stół. Z bliska... – uniósł lekko ramiona – jest więcej szczegółów.

Spojrzał na jej tacę, na nieruszoną kromkę chleba, na herbatę, która zdążyła wystygnąć.

– Jeśli masz zamiar opisać to w raporcie – powiedziała – możesz zacząć od „je bardzo wolno”.

– Nie piszę raportów – stwierdził. – W rodzinie mamy ich już przesył. – Zamilkł na moment. – Poza tym donosy są dla tych, którym się nie chce patrzeć samemu.

To było pierwsze zdanie, które brzmiało, jakby coś o nim zdradzało.

Rose przestawiła łyżkę bliżej środka talerza.

– Więc? – zapytała. – Zaspokoiliś ciekawość? Siedzi sama, oddycha, czyta. Rozczarowany?

– Jeszcze nie – odpowiedział. – Dopiero zaczęliśmy zupę.

Przy sąsiednim stole ktoś znowu szepnął jej nazwisko, tym razem z „Davenport”, ale oboje to zignorowali. Brzmiało to jak tytuł rozdziału, którego jeszcze nikt nie napisał.

Rose poczuła znajome pieczenie w gardle, ale tym razem nie spróbowała go przełknąć przez natychmiastową ucieczkę.

Została na miejscu.

Theodore zanurzył łyżkę w zupie.

– Uprzedzam lojalnie – powiedział, zanim spróbował. – Jeśli miałbym cię „pilnować” w imieniu dyrektora, zacząłbym od mniej publicznego miejsca niż stołówka.

– Uspokoileś mnie.

– Staram się – odparł. – W końcu wszyscy mówią, że jesteś „trudna do upilnowania”. Lubię sprawdzać, czy szkoła się nie myli.

Wzięła w końcu własną łyżkę do ręki. Zupa nadal była letnia, ale dało się ją przełknąć.

Stół, który jeszcze dzień wcześniej był wyspą, stał się nagle punktem przecięcia dwóch nazwisk. I choć Rose chciała zignorować ten fakt, jej ciało już go zapamiętywało.

Horacy wylądował na blacie między nimi.

Szelest przewracanej kartki przeciął szum jadalni tylko dla tych, którzy słuchali blisko.

Theodore zerknął na tekst.

– To bardzo deklaratywny sposób na powiedzenie „nie interesuje mnie towarzystwo” – zauważył. – Horacy do obiadu.

– Jest lepszy niż rozmowa o pogodzie – odparła. – I bardziej konstruktywny niż plotki.

– A jednak siedzisz w samym środku tych plotek – powiedział.

Przesunął palcem po marginesie, tuż obok jej drobnego dopisku.

– „Pozory” – przeczytał. – Dobre słowo jak na ten budynek.

– Ma szerokie zastosowanie – skwitowała.

Chwilę czytali równolegle – on do góry nogami, ona bez pośpiechu, nie mogąc się skupić. Łyżka uderzała co jakiś czas o porcelanę, szelest kartek mieszał się z trzaskiem sztućców przy sąsiednich stołach.

– Wiesz – zaczął po chwili – że ludzie mówią o tobie, jakbyś była zjawiskiem pogodowym?

Nie oderwała wzroku od tekstu.

– Huragan Hartley? – spytała sucho. – Miło.

– Raczej front, ale „huragan” też brzmi ładnie – odparł. – Tam, gdzie siadasz, ludzie zawracają.

Jego spojrzenie było zbyt uważne jak na kogoś, kto tylko żartuje. Badał ją tak, jak ona badała kiedyś wykresy.

– A mimo to jesteś tutaj – zauważyła. – Gratuluję odporności na pogodę.

– Może lubię sprawdzać, czy szkolne mity mają pokrycie w faktach – stwierdził. – Na razie widzę dziewczynę, która je wolniej, niż czyta. Niedługo obiad zamieni ci się w kolację.

Spojrzał na tacę: kromka chleba wciąż nietknięta, zupa ledwo naruszona.

– Nie byłby to pierwszy raz, kiedy coś w tej szkole zmienia funkcję – odbiła.

Poczuła, że kącik ust drgnął jej minimalnie, zanim zdążyła to powstrzymać. Jego oczy błysnęły krótkim, cichym zadowoleniem.

– O, jest jednak życie na tej wyspie – skomentował. – A wszyscy mówili, że Hartley to martwy punkt stołówki.

Rose przewróciła kolejną stronę.

Słowo „nihil” pojawiło się w tekście i przykuło uwagę Theodore’a.

– Marność nad marnościami – skwitował. – Świetny komentarz do szkolnej stołówki.

– Pasuje też do niektórych nazwisk – dodała.

Przez sekundę patrzyli na siebie ponad brzegami talerzy, ponad linijką łacińskiego tekstu.

Na końcu sali otworzyły się drzwi. Dzwonek z poprzedniej lekcji dawno ucichł, więc teraz każde wejście było bardziej widoczne.

Matt siedł właśnie z tacą w dłoni. Szmer rozmów przy jego stole lekko narósł.

Nie siedł do nich, ale przejście środkiem jadalni zawsze oznaczało przecięcie osi stołu Rose. Jeśli spojrzał na nie przez ułamek sekundy, wystarczyło, by to zobaczyć: Horacy rozłożony między talerzem a kubkiem, Theodore naprzeciwko, z pochyloną głową, ich nazwiska już raz wypowiedziane w tej przestrzeni.

Zawahał się minimalnie przy skrzyżowaniu przejść, a jej puls przyspieszył, choć siedziała bez ruchu. Theodore jakby to wyczuł.

– Możesz oficjalnie dodać do swojego grafiku – powiedział cicho – że nie jesteś już samotna przy obiedzie. To już jest statystycznie interesujące.

– Statystyka nie zawsze jest powodem do świętowania – odparła.

– Zależy, z czyjej perspektywy – stwierdził. – Z mojej: przynajmniej nie nudzę się przy jedzeniu.

Zanurzył łyżkę w zupie i w końcu spróbował. Grymas mignął na jego twarzy:

– Horacy ma lepszy smak niż to – mruknął.

– Mówiłam – odparła z suchym parsknięciem. – Dlatego siedzi w centrum jadalni.

Przesunęła książkę odrobinę, tak że jego nadgarstek mógł swobodnie spocząć na blacie, tuż obok marginesu.

Świadomie nie spojrzała w stronę stołu pod oknem, gdzie Matt właśnie siadał. Widziała go przecież wystarczająco wyraźnie na peryferiach wzroku: profil, pochylona głowa, ruch, którym wsunął krzesło.

Rose przełknęła pierwszą normalną porcję zupy od dawna.

Nie nazwałaby tego jeszcze ciekawością – jej umysł wciąż stał na straży, gotowy sklasyfikować Theodore’a jako kolejne, systemowe zagrożenie. Ale jej ciało, dotąd napięte jak struna w pustym pokoju po Caroline, oszukiwało ją na własną rękę. Prawda, której nie zapisała w żadnym notesie, była potwornie prosta: Rose Hartley była wykończona. Ostracyzm St. Oswald’s nie był widowiskowy; był powolnym odcinaniem tlenu, a człowiek, któremu brakuje powietrza, w końcu weźmie wdech, nawet jeśli wie, że w danym pomieszczeniu unika się dymu.

Obecność chłopaka w rozpiętym kołnierzyku, samo twarde oparcie jego nadgarstka o ten sam drewniany blat, działało na jej zeszywniały kark jak narkotyk. Ktoś tu siedział. Ktoś mówił głosem, który nie schodził do szeptu na jej widok. To nie była kapitulacja przed jego uśmiechem – to była fizjologia organizmu, który po tygodniach spędzonych w próżni nagle poczuł obok siebie czyjeś ciepło i instynktownie zaczął zwalniać puls.

Kolejna linijka Horacego rozmazała się pod jej wzrokiem, gdy znów spojrzała na Matta. Rose nic nie powiedziała. Nie musiała. *Nieprawidłowość* przestała być teorią – właśnie rozgościła się przy jej talerzu, pachniała deszczem i miała na imię Theodore.

∞

Korytarz na pierwszym piętrze był w połowie pusty. Część uczniów wpadła już do klas, reszta dreptała w miejscu, udając, że nie słyszy

pierwszego dzwonka.

Rose stała przy oknie, z otwartym zeszytem opartym o parapet. Patrzyła na linijki tekstu, ale z głowy i tak nie schodziły jej liczby z tablicy wyników.

– Rose.

Odwróciła się. Olivia Taylor wychodziła właśnie z sali obok, z plikiem kartek w ręku. Zatrzymała się na moment, jakby rozważała, czy się odezwać, czy po prostu przejść.

– Cześć – powiedziała w końcu.

– Cześć – Rose zamknęła zeszyt, przytrzymując kciukiem stronę.

Olivia uśmiechnęła się lekko.

– Jak... drugi sezon bycia „tą od Cavendish”? – zapytała pół żartem. – Lepiej niż pierwszy?

Rose parsknęła cicho.

– Bardziej duszno – przyznała. – Ale przynajmniej już nie mdleją na mój widok.

– To plus – Olivia skinęła głową. – Wiesz, że jeszcze w ferie moja ciotka pytała, „czy ta dziewczyna od stypendium dalej tam wytrzymuje”?

– Wytrzymuję – odparła Rose. – A ty?

– Też – Olivia wzruszyła ramionami. – Bez stypendium, za to z kompletem zajęć dodatkowych. Każdy ma swój sport.

Przez chwilę stały obok siebie, patrząc w okno. Na dziedzińcu ktoś biegł spóźniony, z kołnierzem niedopiętym pod krawatem.

– W każdym razie... – Olivia poprawiła plik kartek. – Dobrze, że jesteś. W tej szkole łatwo zapomnieć, że ktoś dostał Cavendish za pracę, nie za herb.

– To działa w dwie strony – powiedziała Rose, zanim zdążyła się powstrzymać. – Łatwo zapomnieć, że nie wszyscy przegrani są tu z własnej winy.

Olivia spojrzała na nią z ukosa. Na sekundę w jej oczach pojawił się ten sam cień, co w tamtym semestrze w auli, kiedy patrzyła na pustą sztalugę, zanim wywołano nazwisko Rose i Matta.

– Dzięki – mruknęła. – To chyba miało być komplementem.

– Było – potwierdziła Rose.

Dzwonek zadzwonił drugi raz, tym razem bardziej natarczywie.

– Muszę lecieć – Olivia cofnęła się o krok. – Do zobaczenia na literaturze.

– Jasne – odparła Rose.

Minęły się, wymieniając szybkie uśmiechy. Nie były sobie bliskie, ale było w tej krótkiej wymianie coś, co nie pasowało do oficjalnej opowieści o „zwycięzcy” i „tej drugiej”.

### **Rozdział 3 – Zadanie z sadzy**

Do gabinetu dyrektora dostali wezwanie zaraz po zajęciach.

Sekretarka wprowadziła ich razem i zniknęła, zamykając drzwi z ostrożnością kogoś, kto wie, że po drugiej stronie zbiera się burza.

– Panno Hartley. Panie Whitby. – Dyrektor skinął im głową, wskazując dwa krzesła naprzeciwko biurka. – Usiądźcie.

Przez chwilę panowała uprzejma cisza. Dyrektor poprawił pióro, przesunął teczkę, spojrzął na mały zegar na komodzie. Potem sięgnął do dolnej szuflady.

Wyjął z niej stos papierów i położył na środku biurka.

Zapach uderzył ją szybciej, niż obraz. Lekko słodkawy, gryzący, jak echo nocy w archiwum: przypalonego papieru i dymu, który wchodził we włosy, skórę, ubrania.

Kartki były pofalowane od ciepła, miejscami przyżółkłe. Niektóre brzegi nosiły delikatne, szare obwódki. W jednym miejscu atrament rozpląnął się w bladą plamę.

Matt drgnął, niemal niezauważalnie.

– Ciekawy materiał – powiedział dyrektor spokojnie. – Na pierwszy rzut oka niewiele znaczy. Robocze notatki. Brudne wersje raportów. Marginesowe uwagi.

Mówił jak ktoś, kto ogląda eksponat, nie dowód.

– A jednak – dodał. – W nieodpowiednich rękach potrafiłyby narobić szkody.

Delikatnie przewrócił wierzchnią kartkę. Rose zdążyła dostrzec kilka rzeczy naraz: rubryki z datą, rubryki z nazwiskiem, numer sprawy, krótkie zdanie „zgłoszenie anonimowe” przekreślone jednym gwałtownym pociągnięciem pióra.

– Przez lata – zaczął – prowadzono w tej szkole różne formy dokumentacji. Mamy księgi oficjalne, które widzieliście w archiwum. Mamy też... wersje pośrednie. Szkice. Dodatkowe zapisy, które powstawały w trakcie pracy, zanim ktokolwiek zdecydował, co trafi do rejestru.

„To”, pomyślała Rose, „to jest korytarz między prawdą a wersją oficjalną”.

– Część takich materiałów – ciągnął dyrektor – uległa zniszczeniu. Nie spojrział na Matta, ale Rose wiedziała, że nie musi.

– Część – stuknęła palcem w stos – przetrwała. Krótka cisza.

– Zbliży się Wizytacja Rady Powierniczej – powiedział. – Chcą zobaczyć, że St. Oswald's jest spójne. Że nasza historia jest uporządkowana. Przejrzysta.

Uśmiechnął się lekko.

– A żeby była uporządkowana, trzeba wiedzieć, które wersje zapisów są dla nas właściwe, a które... mylące.

Rose spuściła wzrok na papiery. Na brzegu jednej kartki, przy numerze sprawy, mignął jej fragment nazwiska: „Ash...”. Obok widać było ślad po nie do końca skutecznym zmazaniu.

– Potrzebuję nowego rejestru – powiedział dyrektor. – Spójnego z tym, co już mamy w księgach. Uzupełnionego, tam gdzie brakuje dat. Oczyszczonego z przypadkowych sformułowań, urwanych myśli, emocjonalnych dopisków.

Dotknął piórem marginesu, na którym ktoś kiedyś napisał jednym słowem: „skandal”.

– Szkoła nie może sobie pozwolić na emocje w dokumentach – stwierdził. – Emocje są dla ludzi. Rejestr jest dla instytucji.

Przeniósł spojrzenie na Rose.

– Panno Hartley, ma pani rzadką cechę: pismo, które czyta się jak druk, i cierpliwość do tego, co inni nazywają „nudnymi szczegółami”. Potrafi pani zauważyć nieścisłości tam, gdzie wszyscy widzą tylko wiersze.

Poczuła, jak żołądek ściska jej się w ciasny węzeł.

– Panie Whitby – kontynuował, zwracając się do Matta – ma pan coś, czego nie ma nikt inny poza mną: znajomość kontekstu. Wie pan, które nazwiska są czułe, które zdarzenia miały swoje drugie dno. Rozumie pan, co dla tej szkoły oznacza rok 1976. I lata późniejsze.

Rok 1976 zawisł między nimi jak data wyryta w kamieniu.

– Będziecie pracować razem – oznajmił. – We dwoje. W archiwum. Słowo „archiwum” zabrzmiało nagle jak nazwa wyroku.

– We dwoje? – powtórzyła Rose, bardziej dla siebie niż dla niego.

– Ktoś musi to przepisać – odparł dyrektor. – Starannie, czytelnie, z uwzględnieniem tego, co można pokazać Radzie, i z pominięciem tego, co wymaga subtelniejszego potraktowania.

Oparł dłonie na biurku.

– Waszym zadaniem – wyliczał – będzie ujednoczyć nazwy kategorii, uzupełnić brakujące daty i numery spraw, usunąć komentarze, które nie przystoją oficjalnej dokumentacji, tam, gdzie ktoś pozwolił sobie na zbyt... bezpośredni opis, zastąpić go formułą adekwatną do rejestru.

Spojrzał na Rose, a jej zaschło w gardle.

– A jeśli coś w tych brudnopisach nie zgadza się z tym, co już jest w księgach? – zapytała ochryple. – Jeśli wersje się różnią?

Dyrektor uśmiechnął się, jakby czekał na to pytanie.

– Wtedy uzgodnimy, która wersja jest dla szkoły obowiązująca – powiedział. – Przypominam: rejestr nie jest miejscem na spory. Jest narzędziem ciągłości. To, co w nim zapiszecie, stanie się tym, na co wszyscy będą się powoływać.

„Czyli prawdą” – pomyślała. – „Nieważne, jaka była prawda przedtem.”

Matt milczał. Tylko dłonie zacisnął na poręczy krzesła.

– Nie oczekuję, że zrobicie to w tydzień – ciągnął dyrektor. – Mamy kilka miesięcy do Wizytacji. Do końca semestru. To intensywny okres, ale wierzę, że zdążycie.

„Kilka miesięcy” – czyli całe ich obecne życie.

– Zorganizujemy wam czas – dodał. – Część zajęć będzie dla was zastąpiona pracą w archiwum. Oficjalnie: przygotowujecie materiał do prezentacji dla Rady o historii programu stypendialnego.

„Pięknie”, pomyślała Rose. – „Historia pisana ręką stypendystki, która nawet nie wie, ile kosztuje jej własne nazwisko.”

– No i... oczywiście – głos dyrektora nabrał miękkiego tonu – liczę na dyskrecję. Nikt poza nami trojgiem nie musi wiedzieć, nad czym dokładnie pracujecie. Szkoła źle znosi plotki.

– Co jeśli odmówię? – spytała cicho.

Popatrzył na nią z czymś, co z daleka mogłoby uchodzić za współczucie.

– Panno Hartley – powiedział łagodnie – po tym wszystkim, w co już jest pani uwikłana, byłoby głęboko nieodpowiedzialne umywać teraz ręce. Ma pani szansę zadbać o to, by to, co przetrwało, zostało zapisane z należyłą starannością.

Zawiesił głos.

– I by pewne sprawy nie zostały opacznie zrozumiane przez ludzi, którzy nie znają naszej szkoły tak jak wy.

„Naszej” szkoły.

– Pytania? – zapytał.

Matt odezwał się pierwszy:

– Kiedy mamy zacząć?

– Po lekcjach – odparł dyrektor. – Archiwum jest puste, a państwo... – lekko błysnęły mu oczy – znają drogę.

Rose poczuła ten cios. Tamta noc, ogień, popiół – wszystko wróciło w jednym zdaniu.

Zrozumiała to z nagłą, porażającą jasnością: to nie była zwykła administracyjna kara. To było wyrefinowane, psychologiczne znęcanie się, ubrane w eleganckie formuły. Davenport z pełną premedytacją wpychał ich z powrotem do tej samej piwnicy, zmuszając, by własnoręcznie zatarli ślady własnego buntu. Kazał im uprzątnąć trupy, które sami pomogli stworzyć, i jeszcze podpisać się pod tym z należytą starannością. To było chore, przewrotne i na swój sposób genialne w swojej potworności – system nie musiał ich łamać krzykiem, wystarczyło, że kazał im polerować ściany własnej klatki.

Dyrektor przesunął po biurku dwa cienkie zeszyty, po jednym dla każdego. Czyste, kremowe kartki.

– Tu trafi nowy rejestr – powiedział. – Proszę pamiętać: raz przepisane staje się tym, co obowiązuje.

Dotknął dłonią stosu osmolonych kartek, jakby na chwilę chciał je uciszyć.

– Możecie iść – zakończył. – Czeka nas wszystkich dużo pracy przed końcem semestru.

Wstali. Krzesła zaskrzypiały.

Przechodząc obok biurka, Rose jeszcze raz zerknęła na stos. Na brzegu jednej kartki dostrzegła urwane „Ash...”.

Zanim jej umysł zdążył dopisać resztę, dłoń dyrektora opadła na to miejsce.

Drzwi zamknęły się za nimi miękko.

W korytarzu Rose przez moment stała nieruchomo, zaciskając palce na grzbiecie pustego zeszytu.

– To nie jest tylko przepisanie – powiedziała półgłosem.

Matt milczał.

Oboje wiedzieli, że właśnie zostali oficjalnie mianowani na skrybów nowej, ocenzurowanej historii St. Oswald’s.

∞

Deszcz już przeszedł, ale powietrze nadal było ciężkie od wilgoci. Kamień na dziedzińcu błyszczał miejscami, jakby ktoś go świeżo wypolerował.

Pod pomnikiem Cavendisha było spokojniej. Fundator patrzył przed siebie z górnej półki, a za jego marmurowym płaszczem wciąż kryła się ta sama wąska wnęka, w której kamień pozostawał suchy, choć wszystko wokół schło dopiero w połowie.

Matt siedział tam oparty o cokół. W dłoni trzymał papierosa, niedopałek żarzył się leniwie w półmroku. Obok, oparty o ścianę, z rękami w kieszeniach stał Theodore:

– Gdyby ktoś mi powiedział na tamtym bankiecie w Londynie, że skończę pałac za plecami zakurzonego fundatora – mruknął – uznałbym to za kiepski żart.

– W Londynie przynajmniej nikt nie udawał, że oddychanie to przywilej, za który trzeba płacić – mruknął Matt, wypuszczając wąską

smugę dymu. – Tam blichtr był oficjalny. Tutaj musisz na niego zarobić lojalnością wobec umarłych.

– Wtedy jeszcze uważałeś, że życie kończy się na prywatnej łoży w operze – odparł Theodore. – Pamiętasz? Stałeś przy bufecie i robiłeś wykład o tym, że ciepłe tartinki to przejaw cywilizacji.

Mieścili się tu we dwóch na styk – dokładnie tyle, żeby nie ocierać się łokciami przy każdym ruchu.

– Miałem trzynaście lat – Matt przewrócił oczami. – Nie odpowiadam za moje ówczesne poglądy na cywilizację.

– Twoja matka odpowiadała – zauważył Theodore. – Wyglądała, jakby w każdej chwili była gotowa wyciąć ci język dla dobra dynastii.

Matt parsknął cicho.

– Dalej jest – stwierdził. – Tyle że teraz zamiast tartinek ma do dyspozycji stypendia i raporty z zachowania. Z wiekiem sposoby nacisku robią się coraz bardziej wyrafinowane – dodał, wzruszając ramionami.

Przez chwilę milczeli. Gdzieś z daleka dobiegł stłumiony śmiech z pokoi wspólnych, przefiltrowany przez mury.

– Jak ci się spodobała Twoja osobista premiera? – zapytał Matt. – St. Oswald's. Pierwszy akt twojej kariery.

– Ten sam teatr, tylko inni statyści – odparł Theodore.

– Scena w jadalni była... interesująca.

– Hartley?

– Mhm. – Matt zaciągnął się dymem.

– A co z tobą? Zaskakująco dobrze grasz rolę człowieka, który jej nie widzi. Wuj mówi, że w poprzednim roku byliście dosyć blisko. Podobno przyłapali was nawet na wyjściu poza szkołę... – Theodore uniósł brew. – Skandal – dodał, parskając śmiechem.

Matt wzruszył jednym ramieniem, na tyle, na ile pozwalał mu marmur za plecami.

– Dokładnie tego ode mnie oczekują – powiedział. – Żeby wyglądało, jakbym trzymał się swojego rzędu stołów.

– Od ciebie wszyscy czegoś oczekują – stwierdził Theodore. – Od niej tylko wyników. – Uśmiechnął się krzywo. – Całkiem uczciwy układ, jak na tę szkołę.

Matt prychnął.

– Mówi chłopak, który pojawia się tu pierwszy tydzień i od razu łąduje przy jej stole – zauważył. – Gratuluję wyczucia sytuacji.

– Nie musiałem łądować – odparł spokojnie Theodore. – Siedziała w środku sali, a obok było dużo wolnych miejsc.

Uśmiechnął się pod nosem, jakby wspominał jakiś własny eksperyment.

– Poza tym – dodał – lepiej siedzieć obok kogoś, kto czyta Horacego do obiadu, niż obok chłopaków, którzy liczą, ile kufli są w stanie wypić w jeden wieczór.

Na chwilę zapadła cisza. Matt zgasił papierosa o kamień, wcisnął niedopałek w szczelinę pomiędzy cegłami.

– Uwważaj na nią – rzucił nagle. – Na Hartley.

– Brzmisz, jakby była kimś groźnym – Theodore spojrział na niego z rozbawieniem.

– Tylko ostrzegam – poprawił Matt. – Ona liczy wersy, nie znajomych. Jak coś sobie przeliczy na niekorzyść, nie będzie się przejmować tym, że jesteś siostrzeńcem dyrektora.

Theodore zamyślił się na moment.

– Spokojnie – powiedział. – Nie sądzę, aby była w stanie mnie skrzywdzić. – Zawahał się ułamek sekundy. – Chociaż chętnie to

sprawdzę – dodał pół żartem.

Matt spał się nieznacznie, ale tylko przewrócił oczami i pozwolił, aby kącik ust drgnął mu lekko.

– Jesteś tu *na razie* od trzech dni – przypomniał. – Daj szkole tydzień, a znajdzie dla ciebie dokładnie taką szufladkę, jak trzeba.

– Widziałem ich szufladki na bankietach od dziecka – stwierdził Theodore. – Przynajmniej tutaj mają ładniejszy kamień.

Lampy na dziedzińcu przygasły odrobinę, zapowiadając ciszę nocną.

– Idziemy? – zapytał w końcu. – Zanim ktoś zauważy, że dwóch dobrze urodzonych uczniów znika z pola widzenia fundatora.

– Idź – Matt odchylił głowę do tyłu, opierając ją o zimny marmur.  
– Za chwilę dołączę. Muszę jeszcze przećwiczyć swoją „tragedię antyczną w praktyce”.

– Chór już masz – rzucił Theodore, wskazując na okna pokoiów wspólnych. – Zostawiłeś go w środku.

Odwrócił się i wyszedł spod pomnika, jakby wychodził z kulisy na scenę. Matt został we wnętrzu jeszcze przez kilka oddechów.

Kiedy w końcu wstał i poprawił krawat, jego twarz znów należała do kogoś, kto nigdy nie pali za plecami fundatora i nie rozmawia o dziewczynie ze stołówki po zmroku.

∞

Archiwum pachniało wilgocią i starym dymem. Inaczej, niż w poprzednim semestrze.

Światło dwóch jarzeniówek nad stołem robiło z reszty pomieszczenia szarą plamę. Po bokach piętrzyły się metalowe szafy, jeszcze z zaciekami po pożarze. Na drzwiach jednej z nich wciąż było widać ślad po numerze, który kiedyś ktoś próbował zdrapać.

Rose weszła pierwsza. Drzwi zamknęły się za nią ciężko, z opóźnionym stukiem.

Na środku stał długi stół, przykryty płóciennym obrusem, jakby ktoś chciał ochronić go przed kolejną warstwą sadzy. Na blacie leżały osmalone brudnopisy, poszarpane teczki, pęknięte segregatory. Obok – stos nowych, czystych zeszytów z twardą okładką i kałamarze.

Zegar na szafce z tyłu tykał miarowo, jakby odliczał czas do końca lekcji, której tu nie było.

– Usiądźcie – powiedział dyrektor godzinę wcześniej, w gabinecie.  
– Zadbajcie o klarowność.

Klarowność.

Rose zdjęła marynarkę, zawiesiła ją na oparciu krzesła, zanim zdążyła poczuć, jak chłód przechodzi ją na wskroś. Usiadła po lewej stronie stołu.

Drzwi otworzyły się ponownie. Matt wszedł bez słowa. Mundurek miał nienaganny: krawat prosto, guzik zapięty, włosy zgodnie z regulaminem. Jakby po drodze z gabinetu zdążył wyprasować siebie od nowa.

Zamknął za sobą drzwi i przeszedł na drugą stronę stołu. Usiadł po prawej, naprzeciwko stosu brudnopisów. Krzesło zaskrzypiało cicho.

Przez chwilę słychać było tylko tykanie zegara i oddech dwojga ludzi, którzy kiedyś stali po tej samej stronie korytarza.

Matt sięgnął po najbliższą teczkę. Otworzył ją ostrożnie, jak chirurg rozcinający bandaż. Kartki w środku były nadpalone na krawędziach, czarne plamy oddzielały całe wiersze tekstu.

– Zacniemy od pierwszej połowy roku – powiedział, jakby recytował instrukcję. – Łatwiej będzie dopasować późniejsze decyzje.

Jego głos był równy, suchy. Oficjalny ton kogoś, kto już dawno nauczył się, jak brzmieć przy Radzie Powierniczej.

Rose skinęła głową, chociaż nie musiała. Sięgnęła po pióro, jedno z nowych, jeszcze nieużywanych. Stalówka błysnęła w zimnym świetle.

– Ty przepisujesz – stwierdził. – Masz czytelniejsze pismo. – Podsunął jej pierwszy brudnopis, nie patrząc na nią.

Zdanie, które kiedyś mogłoby zabrzmieć jak żart, teraz było czystą logistyką.

– A ty? – zapytała, bardziej, żeby coś powiedzieć, niż z ciekawości.

– Sprawdzam zgodność – odpowiedział krótko. – I uzupełniam, gdzie brakuje dat.

Wziął do ręki jeden z nowych rejestrów, otworzył go na pierwszej stronie. Napisał tytuł równym, drukowanym pismem: „Rejestr decyzji dyscyplinarnych – wersja obowiązująca”.

Atrament wsiąkł w papier bez rozlewania.

Rose odwróciła pierwszą kartkę brudnopisu. Litery były częściowo okopcone, niektóre słowa trzeba było odgadnąć z kontekstu. Zanurzyła stalówkę w kałamarzu. Pierwsze zdanie przepisała mechanicznie, linijka po linijce.

Przez kilka minut słychać było tylko skrobanie pióra i miękkie szelesty papieru. Zegar nad ich głowami podkreślał każdą sekundę.

– Uważaj na marginesy – rzucił w pewnym momencie Matt, nie podnosząc wzroku. – On lubi, jak wszystko jest wyrównane.

„On”. Ani „dyrektor”, ani „Davenport”. Odległość wpisana w zaimek.

Rose przesunęła pióro o milimetr w prawo. Rubryki nagle zaczęły wydawać się ciasne, jakby na każdy znak było tu ograniczone miejsce.

– Nie musisz mówić mi, co on lubi – odparła cicho. – Zbyt często słyszałam to w domu.

Matt nie odpowiedział. Przerzucił kolejną kartkę.

Cisza, która zapadła, była bardziej dotkliwa niż jakakolwiek kłótnia. Była jak ściana z mrozu między nimi, zbudowana z decyzji podjętych w gabinecie, do którego ona nie miała wstępu.

Rose poczuła, jak kark sztywnieje jej jeszcze bardziej. Pismo, zazwyczaj drobne i równe, zaczęło drzeć przy końcówkach liter. Zatrzymała się na jednej z linii.

– Jeśli coś jest nieczytelne – powiedział – zostaw. I tak mają swoje kopie.

– A jeśli czegoś brakuje? – zapytała. – Pożar nie wybrał sobie rubryk.

– To znaczy, że nie było to ważne – odparł. – Albo że mają to gdzieś.

W jego głosie nie było ani zgody, ani sprzeciwu. Tylko stwierdzenie faktu. Jak równanie, które ktoś kazał mu przepisać.

Rose przełknęła ślinę. Czuła, że gdzieś w środku, pod warstwą apatii, coś chce się poruszyć. Zadać pytanie. Podważyć.

Zamiast tego zanurzyła pióro jeszcze raz i przepisała kolejną datę.

– Dla ciebie to tylko zadanie? – wymknęło jej się po chwili. – Kolejna rubryka do wypełnienia?

Matt uniósł wzrok z kartki. Spojrzenie miał chłodne, równe. Jak na zdjęciach z kroniki: idealny profil, żadnych emocji.

– Dla mnie to test – odpowiedział. – Jemu zależy, żeby zobaczyć, czy potrafimy pracować razem w oficjalnej wersji.

Słowo „razem” brzmiało jak żart, którego nikt nie chciał opowiadać.

– A nieoficjalnie? – zapytała.

– Nieoficjalnie – powiedział – zależy mi, żeby dożyć końca roku.

Odłożył pióro na moment, jakby chciał zaznaczyć kres zdania.

– Jeśli chcesz moralnej satysfakcji – dodał – wybrałaś zły pokój.

Ostatnie zdanie ją uderzyło. Jakby ktoś przyłożył jej do twarzy lusterko i kazał jej zobaczyć, jak wygląda, kiedy siedzi nad cudzymi decyzjami w cudzej księdze.

Poczuła falę upokorzenia.

– Rozumiem – powiedziała, starając się, żeby głos brzmiał neutralnie. – W końcu to „jego” rejestr.

Matt znów pochylił się nad brudnopisem.

– To jest rejestr szkoły – poprawił. – On tylko trzyma klucz.

Ta poprawka była jak kolejne przypomnienie: on już przeszedł na ich język, ich kategorię „my”. Ona wciąż stała w drzwiach.

Zegar tykał dalej. Stalówka skrobała po papierze. Chłód archiwum osiadał w palcach.

Po jakimś czasie Rose zorientowała się, że nie czuje już dłoni. Pismo wyrównane do marginesu, drobne litery węższe niż zwykle. Jakby próbowała zmieścić siebie w obcym formacie.

Matt co jakiś czas przesuwiał do niej kolejne kartki. Ani razu nie dotknęli się przy tym palcami. Ani razu nie spojrział na nią inaczej niż jak na kogoś, kto ma wykonać część zadania.

Kiedy zegar nad drzwiami przesunął się na szesnastą, zamknął kałamarz jednym ruchem.

– Na dziś wystarczy – powiedział. – Mamy jeszcze tygodnie.

Słowo „tygodnie” zawisło w powietrzu jak wyrok.

Rose odłożyła pióro. Dopiero wtedy zauważyła atramentową plamę na wewnętrznej stronie dłoni. Jak ślad po czymś, czego nie da się do

końca zmyć.

Matt wstał. Poprawił krawat. Odstawił krzesło pod stół tak, jakby nigdy na nim nie siedział.

– Do jutra – rzucił neutralnie.

Nie spojrział na nią przy wyjściu. Drzwi zamknęły się za nim tak samo ciężko jak na początku.

Została na krześle jeszcze chwilę, słuchając tykania zegara i własnego oddechu, który nagle wydawał się zbyt głośny w tym pokoju.

Archiwum było zamknięte, ale to nie drzwi były problemem. Problemem było to, że z każdym przepisany wierszem czuła się jak ktoś, kto bierze udział w cudzym kłamstwie, podpisując się własnym pismem.

Apatia, która dotąd była tylko ochroną przed stołówką i korytarzami, tu zaczęła przybierać inną formę. Nie była już tylko obojętnością. Była decyzją: nie pękać przy nim, nawet jeśli on patrzy na ten sam papier i widzi zupełnie inną wersję świata.